



PROJEKT 9000 METRÓW

CZYLI NASZ SUKCES W HISZPANII I JEDNOCZEŚNIE LEKKI NIEDOSYT NA PRZYSZŁOŚĆ - OLE!

PATRONAT MEDIALNY
WIELKI BŁĘKIT



Po naszej ostatniej wyprawie nurkowej Murcja w Hiszpanii kojarzy mi się z paellą, mariscos, ze słońcem, ciepłym jak zupa morzem, wrakami, jaskiniami, wodą o przejrzystości sięgającej 20 metrów i temperaturą 20 stopni na 60 metrach, w której na 100 metrach panuje zaledwie półmrok i wrak oglądać można bez latarki...

Ale od początku - w poprzednim numerze Wielkiego Błękitu opisywaliśmy nasz Projekt 9000 metrów, polegający na pokonaniu deniwelacji 9000 metrów pomiędzy wysokością Everestu (8848 m n.p.m.) oraz głębokością 152 m. Everest zdobyty zo-

stal 23 maja 2008 roku, a głębokość 152 metrów osiągnięta 5 października 2011 roku w pobliżu miejscowości La Azohia w Hiszpanii. Tym samym została pierwszą kobietą, której udało się to osiągnąć, tzn. postawić stopę na szczycie Everestu i zanurkować na 152 metry. Poprzednio, według naszych ustaleń, było kilku panów, którzy ukończyli z powodzeniem Projekt 9000 metrów, ale żadnej pani!

Właściwe przygotowania do wyprawy rozpoczęły się kilka miesięcy wcześniej, od treningów w różnych warunkach (w zimie w Dahab i potem na wiosnę pod lodem w Hańczy) pod

okiem i kierownictwem Jacka Lubowieckiego ze Scuba Training. Kolejne tygodnie upływały na gromadzeniu ogromnych ilości sprzętu dla całej ekipy (m.in. 22 butle stałe, ponad 30 automatów, nie wspominając o innych drobiazgach - w sumie około 600 kg sprzętu nurkowego!). Wszystko to zostało wysłane do Hiszpanii ciężarówką, a 2 tygodnie później pojawiliśmy się tam i my.

23 września 2011 w Hiszpanii powitało nas gorące słońce i morze o temperaturze 24 stopni przy powierzchni. Naszą bazą stał się 19-kilometryrowy Półwysep La Manga na Costa Blanca, o szerokości 300 metrów, oddzielający Morze Śródziemne od słonowodnej laguny Mar Menor o zawrotnym zasoleniu sięgającym 47% (!), idealnej do uprawiania sportów wodnych (średnia temperatura przez cały rok 18 stopni, głębokość maksymalna 8 metrów, minimalne fale, lekki wiaterek...)

Naszym celem było jednak zdecydowanie głębsze morze. Pierwszego dnia rozgościliśmy się w apartamentach, drugiego rozładowaliśmy tę całą górę sprzętu i przysposobiliśmy nasze zestawy do użycia, a trzeciego rozpoczęliśmy nurkowanie.

25 września 2011 Naszym pierwszym celem „na rozpywanie” i sprawdzenie konfiguracji wszystkich uczestników wyprawy był wdzięczny wrak transportowca SS Lillian, spoczywający na głębokości 45 metrów w pobliżu Półwyspu La Manga, zatopiony podczas II Wojny Światowej przez U34;



K 2011



była to jedna z 4 jednostek zatopionych w tym samym dniu przez tego samego U-boat'a. Wrak zachowany jest w dobrym stanie, leży na równej stepce i stanowi dom dla przeróżnych gatunków ryb (dorady, groupery, leszcze, barakudy). Najdziwniejszymi stworzeniami zaobserwowanymi przez nas w tym dniu były niewątpliwie pływające galaretowate „węże”, składające się z pozlepianych ze sobą łańcuchów ikry rybiej o długości nawet kilku metrów!

Wrak widać jak na dłoni – spoczywa na jasnym płaszczystym dnie, a podziwiać go mogliśmy w temperaturze około 20 stopni, przy widoczności 20 metrów. Jasno było jak w dzień – latarki nie przydały się w ogóle. Następnym razem warto byłoby zajrzeć do środka wraku przez któryś z jego licznych otworów w pokładzie albo w poszyciu – ale to temat na kolejną wyprawę do Hiszpanii.

Następnego dnia zerwał się dość silny wiatr i łódzie nie wypływały na nurkowania z naszego portu na Półwyspie La Manga. Z nosami na kwintę musieliśmy zrezygnować z nurkowania na kolejnym wraku i opracować plan B.

Na pocieszenie wieczorem urządziliśmy sobie prawdziwą ucztę krewetkową, która odbyła się na tarasie jednego z naszych apartamentów z widokiem na słońce zachodzące malowniczo nad Mar Menor – nie wiadomo, co było lepsze: mariscos i wino hiszpańskie, czy piękne widoki.

27 września 2011 Niestety wiatr nie zamierzał tak szybko dać za wygraną, ale mieliśmy już plan B – przenieśliśmy się z La Mangi za Cartagenę do małej miejscowości La Azohia, w której domki letniskowe były jeszcze mniej-

sze, sklepów jak na lekarstwo, zaledwie kilka restauracyjek serwujących świeże mariscos, no i spokojne morze – La Azohia jest doskonale osłonięta od wiatru i, podczas gdy w innych miejscach nie pozwala on wypływać do morza, tam jest to możliwe!

Tym razem czekało nas dość płytkie (maksymalnie do 40 metrów), ale za to bardzo długie (około 1,5 godziny) nurkowanie dla przyjemności, podczas którego można było zaobserwować zdecydowanie więcej życia morskiego, niż poprzednio: mureny, skorupy, ławice kolorowych rybek oraz – uwaga – mola mola, tuż po wejściu do wody! Samogłów niewątpliwie stanowił największą atrakcję tego nurkowania – nikt się go nie spodziewał w tym miejscu! Najwyraźniej ryba wynurzyła się na pływacznię, by poddać się zabiegom kosmetycznym prowadzonym przez małe rybki. Mogliśmy tam także zaobserwować różne ciekawe formacje skalne – łuki, grotty, głązy.

28 września 2011 Kolejny dzień na spokojnych wodach La Azohia – tym razem, przynajmniej w moim przypadku, nie było to już nurkowanie dla przyjemności, ale ćwiczenia w konfiguracji docelowej, przepinanie stage'y na wszelkie możliwe sposoby, ostatnie przymiarki dodatkowych elementów sprzętu i dopasowywanie całości. Wszystko to odbywało się przy opustówce na 55 metrach, w krystalicznie czystej i ciepłej jak zupa wodzie zatoki, ponownie przy doskonałej widoczności, bez latarek, których w takim otoczeniu po prostu nie wypada zapalać. Część grupy wybrała zamiast ćwiczeń wycieczkę w kierunku skał, co niewątpliwie stanowiło ciekawą alternatywę.

Niestety część osób przyjechała tylko na tydzień, więc kolejny dzień poświę-

cili na pakowanie sprzętu, a ja na dopracowywanie ostatnich nowych elementów konfiguracji „na sucho”, przekręcanie automatów, ostatnie dopasowywanie stage'y i dopinanie wszystkiego na ostatni karabinek.

30 września 2011 Ciągłe wieje – oczywiście zawsze możemy ćwiczyć w płytkiej osłoniętej zatoce La Azohia, ale ile można? Wybraliśmy się tam jednak, żeby sprawdzić pogodę i możliwości i zdecydowaliśmy się na trochę inne nurkowanie w siodko- i słonowodnej przepięknej jaskini krasowej Cueva del Agua. Jest to zupełnie inny wątek, nie związany z naszym głównym celem wyprawy, więc opisujemy go w innym miejscu, ale warto było! Mimo okropnego upału, morderczej wilgotności i karkołomnego zejścia do lustra wody, po wyjściu z jaskini oczy mieliśmy szeroko otwarte ze zdumienia i podziwu dla cudów matki natury.

Następnego dnia podjęliśmy kolejną nierówną walkę z naturą i wypłynęliśmy na pełne morze, by zanurkować na 105 metrów na wraku. Nawet do niego dotarliśmy i ubraliśmy się w sorzet, ale o ile dawało się jeszcze coś zrobić, gdy łódka płynęła, to nie było już takiej możliwości, gdy zakotwiczyła przy wraku – fale sięgały dwóch metrów, przechyliły łódki na boki były tak zdecydowane, że rebreathery nurków, którzy dołączyli do nas na to nurkowanie, latały po całej łódce, a ja, po założeniu wszystkiego na siebie, w pewnym momencie usiadłam w całym sprzęcie na pokładzie i tam już zostałam do końca tej wycieczki, zdejmując tylko w miarę możliwości poszczególne elementy sprzętu z siebie i zabezpieczając je pod fawkami. Kolejny raz morze pokazało nam, na co je stać...



Po tym niedoszłym nurkowaniu sprawdziliśmy super dokładne prognozy wiatrów na najbliższe dni – nie napawały optymizmem – wiatr zamierzał ewentualnie uciąć od poniedziałku kolejnego tygodnia, a w weekend mogliśmy co najwyżej pływać wpław bez sprzętu – żadna łódka nie zawiozłaby nas na głębsze nurkowania wrakowe.

Zaczynało to wszystko wyglądać nieciekawie – póki co, skupiliśmy się na oczekiwaniu przyszłego tygodnia i zajęliśmy się działaniami nie mającymi z nurkowaniem nic wspólnego, np. udaliśmy się na zwiedzanie Cartageny, przepięknego miasta założonego w III w. p.n.e. podczas podbojów fenickich. Wycieczka była bardzo przyjemna, ale nasz główny cel wyprawy zdecydowanie stał się zagrożony – jeśli wiatr nie odpuści w kolejnym tygodniu, to już nie pozostanie nam wiele opcji...

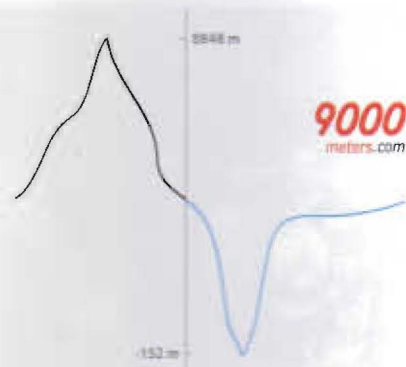
3.10.2011 Jednak wiatr odpuścił, a nam szczęście w końcu dopisało! Wybraliśmy się wreszcie na wrak spoczywający na 105 metrach – Angelo Parrodi (jest to wrak, o którym nadal stosunkowo niewiele wiadomo; przed nami eksplorowany był zaledwie kilka razy, jak poinformowali nas lokalni nurkowie).

Nasz katamaran zakotwiczył niedaleko wraku, morze było gładkie jak stół, więc i nurkowanie bardzo przyjemne. Gdyby nie to, że wrak spoczywa jednak dość głęboko, chciałoby się tam zostać dłużej i dokładnie go obejrzeć – na 100 metrach panuje zaledwie lekki półmrok, więc nawet bez latarki wrak dobrze widać!

Tymczasem trzeba się jednak było wynurzać i odbyć dekompresję. Przy okazji, wisząc długo przy linie, udało mi się zidentyfikować ostatnie elementy sprzętu do poprawki przed finalnym nurkowaniem (ułożenie balastu, dodatkowa butla do inflacji skrzydła i suchego skafandra).

Kolejny dzień poświęciliśmy na ostateczne domknięcie wszystkich szczegółów dotyczących finalnego nurkowania na 152 metry – potwierdzenie run time'ów (głównego i rezerwowych) i zaplanowanie, kto w której minucie wchodzi do wody i jaką pełni rolę, ponowne przeliczenie butli, automatów i innych elementów sprzętu potrzebnych na to nurkowanie, dołączenie ostatnich pasów i dopięcie karabinków. Gdy już wyczerpaliliśmy ostatecznie temat sprzętowy i doszliśmy do wniosku, że możemy już tylko czekać na zamówione gazy, co potrwa co najmniej kilka godzin, wybraliśmy się na wycieczkę do pobliskiego Cabo de Palos – bardzo ładnej miejscowości na czubku naszego półwyspu z latarnią morską.

5.10.2011 Wreszcie nadszedł dzień właściwego nurkowania na 152 metry. Rano pojechaliśmy do La Azohii i zajęliśmy się analizą gazów we wszystkich butlach głównych i bocznych. Miksy wyszły w miarę ok, więc odetchnęliśmy. Następnie zabraliśmy się za klarowanie sprzętu, rozpisywanie run time'ów na tabliczkach, pakowanie sprzętu na wózki i przewożenie na łódź. Jakimś cudem udało się tam wszystko zmieścić i poukładać równo przy każdym nurku jego zestaw butli i innych elementów sprzętu.



Pogoda nadal nam sprzyjała – morze było minimalnie tylko pomarszczone, ale słońce świeciło jak zwykle i piękne bezchmurne niebo zamierzało się utrzymać jeszcze co najmniej przez kilka godzin.

Niestety tym razem nie mieliśmy nurkować na wraku, bo nie udało nam się namierzyć żadnego wraku w okolicy na odpowiedniej głębokości. Zdecydowanie dalej zlokalizowany został bliżej niezidentyfikowany wrak na ponad 160 metrach głębokości, ale chwilowo zdecydowaliśmy się zanurkować przy opustówce. Lina została rzucona i naciągnięta, deco bar zwodowany i odpowiednio ustawiony.

Gdy wszystko już zostało przygotowane i sprawdzone, przyszedł czas na ubranie mnie w cały sprzęt, tym razem na siedząco, bo w twinsecie 2 x 15l z doczepioną z tyłu 5l butlą do inflacji skrzydła i skafandra i z czterema butlami bocznymi daleko bym nie zaszła. Na szczęście nasz katamaran był doskonale przystosowany do nurkowania w ciężkim sprzęcie – wystarczyło usiąść na obrótej tylną część pokładu i gotowe – za chwilę znalazłam się w wodzie wraz z Simonem Townsendem, szefem ITDA, który był naszym gospodarzem na tym wyjeździe i zdecydował się towarzyszyć mi podczas tego nurkowania.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem – zanurzenie przy opustówce, przełączenia na kolejne gazy, wreszcie na komputerze pojawiła się liczba 152 – opustówka schodziła jeszcze kilkanaście metrów głębiej i kusząco zapraszała do dalszej wycieczki, zaczęłam zastanawiać się, co tam jest na dnie, ale... czas gonił i trzeba było pilnować run time'u, więc po krótkim uścisku dioni, równo w 10 minutę ruszyliśmy z powrotem w górę.

Wynurzałam się powolutku przy linie, zmieniając gazy, w okolicach



100 metrów znowu zrobiło się jasno i potem już z każdym metrem robiło się „coraz bliżej do domu”. W okolicach 100. metra spotkaliśmy Jacka Lubowieckiego, potem Elę Benducką na 80. metrach, wreszcie na 60 metrach czekali na nas Maciek Pałys i Tomek Godzina. Maciek zabrał ode mnie część stage'y z niepotrzebnymi już gazami podróznymi i od tego momentu wynurzał się większą grupą. Pierwszy przystanek na 51 metrach, potem kolejne. Wreszcie od 9 metra zaczęły się te naprawdę długie przystanki, a na 6. metrze spędziłam prawie godzinę! W sumie całe nurkowanie na 152 metry trwało 151 minut (w międzyczasie prawie wymyśliłam kino podwodne) i już można było wyjść na powierzchnię. Podekscytowana grupa zrelacjonowała, że jak wisieliliśmy na deco, to widzieli przepływające w pobliżu delfiny! No, cóż, my co najwyżej obserwowaliśmy przeraźliwie różowe meduzy albo czytaliśmy bardzo dokładnie napisy na deco barze.

Najlepsze nastąpiło potem – usiadłam tylko na „winde” i już nic więcej nie musiałam robić – zostałam rozebrana ze sprzętu i nie mogłam niczego się dotykać, żeby nie nabawić się DCS'u. Simon śmiał się, że to jest to, co najbardziej lubi w nurkowaniu.

Wykonaliśmy pamiątkowe zdjęcia na nabrzeżu, wyściskaliśmy wszystkich i nie pozostało nam nic innego, jak zebrać cały sprzęt i spakować go wieczorem w pudła, bo następnego dnia miał już wracać do Warszawy. Tak, że wieczór też mieliśmy dość intensywny, nie było za bardzo czasu na świętowanie.

Dopiero ostatniego dnia, gdy sprzęt już zaczął podróżować do Polski, odetchnęliśmy, zajęliśmy się odpoczynkiem i cieszyliśmy się różnymi małymi przyjemnościami takimi jak wypicie kawy na tarasie, czy zjedzenie na lunch smakowitych ośmiorniczek w papryce. Na pożegnanie z La Mangą wybraliśmy się jeszcze popływać w morzu, a wieczorem urządziliśmy sobie prawdziwą ucztę z mariscos.

Jakieś podsumowanie, refleksje? Bardzo się cieszę, że mimo przejściowych trudności, niesprzyjającej pogody, iluś-tam wyzwań logistycznych i sprzętowych, końcowe nurkowanie na 152 metry odbyło się zgodnie z planem, praktycznie co do minuty i co do metra. Jest to niewątpliwie zasługą całego zespołu, który mi wtedy

towarzyszył, poczynając od Jacka Lubowieckiego ze Scuba Training, który był pomysłodawcą i motorem całej akcji, zapewniał wsparcie sprzętowe i nurkowe na dużych głębokościach, poprzez innych nurków zabezpieczających, którzy również nie szczędzili starań, by na koniec wszystko wyszło jak trzeba; tak więc ogromne podziękowania również dla Eli Benduckiej, Tomka Godziny, Maćka Pałysa, czy wreszcie Simona Townsenda. Ten sukces jest sukcesem całego zespołu, nie tylko tych wymienionych

osób, ale też i innych, którzy niekoniecznie chcieli, by o nich wspominać. Nasze nurkowanie nie odbyłoby się także bez wsparcia z firm Dive Rite oraz O'Three, których sprzęt okazał się jak zawsze niezawodny i sprawdził się w wymagających warunkach.

Co do samej Hiszpanii – cóż, trzeba tam jeszcze wrócić i zanurkować na kolejnych wrakach i w kolejnych jaskiniach!

Agnieszka Kiela-Pałys



CUEVA DEL AGUA

Cueva del Agua, jaskinia w Murcji, Hiszpania, to przepiękny przykład jaskini krasowej typu termicznego. Jaskinia ma połączenie z podziemnym zbiornikiem wodnym zajmującym ogromny obszar w tym regionie oraz ze źródłami termalnymi. Temperatura wewnątrz jaskini sięga 30 st. C, a wilgotność 99%. Sieć tuneli ciągnie się na ponad 2 km długości i głębokość 21 m – przynajmniej tyle stwierdzono podczas poprzednio prowadzonych ekspedycji badawczych, gdyż w jaskini nadal znajduje się wiele miejsc czekających na eksplorację i opisanie. My mieliśmy przyjemność zobaczyć zaledwie sam początek korytarzy, ale i tak było warto! Występuje tam ciekawe zjawisko halokliny, czyli mieszania się wody słodkiej ze słoną. Jest to dość trudna technicznie jaskinia – dno jaskini pokryte jest grubą warstwą osadu, co przy nieuważnym pływaniu powoduje jego natychmiastowe podniesienie się i znaczne ograniczenie widoczności; w przypadku pokonywania restrykcji trzeba być przygotowanym na powrót przy zerowej widoczności. Korytarze miejscami są dość ciasne i łatwo strącić sobie na głowę lawinę kamieni. Samo zejście do jaskini jest dość karkołomne, ale widoki w komnacie nadwodnej jaskini i w podwodnych korytarzach – niezapomniane! Prezentujemy kilka zdjęć, które dość dobrze oddają piękno tego niezwykłego miejsca. Jaskinia nie była naszym głównym celem podczas tego wyjazdu, ale na pewno warto do niej jeszcze w przyszłości wrócić.

Foto: Rafał Kociniński

